PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 22. *Warszawa, 30 maja 1914.* Widok 3.

W. RZYMOWSKI.

Owoce realizmu.

1.

Nieskończone brednie, którymi ogół polski sam siebie okłamuje i zwodzi, za pomocą kłamliwej i zwodnej prasy, nieskończone brednie sprawiły, że na mogiłę samorządu miejskiego, pogrzebanego w Radzie Państwa, łzy niespodzianie z polskich pociekły oczu. Ile tych łez upadło, nie wiemy, gdyż od ich widoku ze wstrętem wzrok się odwraca. Ale, gdyby tylko jedna łza upadła, już sama jedna strasznym byłaby świadectwem. Albowiem każda taka łza, jak pokorna żebraczka, u stóp wyniosłych padając, imieniem kraju zda się do Hurki, do Stiszynskiego, do Rakowicza mówić: «Wasze, prześwietni panowie, wobec kraju stanowisko jest także stanowiskiem naszym. Niema granicy żadnej między nimi. Jako wy sprawę polską pojmujecie, tako i my ją pojmujemy. Co wy uważacie za krzywdę dla nas, Polaków, to nas jako krzywda boli. Co wy uważacie za dobrodziejstwo dla nas, to dobrodziejstwem jest rzeczywistym. Różnią nas interesy, ale upodabniają uczucia. W ręku waszych spoczywa nad nami grom kary i — łaska zbawienia.»

To mówią — polskie łzy, a raczej po przez nie mówią ci, którzy je nad grobem samorządu ronią. Tego samorządu, jaki przed kilku dniami ostatecznie uchwałą Rady Państwa został pogrzebany.

A mówiąc to, stwierdzają swą solidarność z Hurką i Stiszynskim. Zgodę i solidarność stwierdzają w rzeczy najważniejszej: w poglądzie na istotę projektu samorządowego. Rozchodzą się z nimi w rzeczach dalszych, ale grunt zasadniczy mają wspólny. Wspólne mianowicie wypielęgnowali przekonanie, że projekt, który był z Dumy do Rady Państwa napłynął, projekt Aleksiejewa, był dla miast Królestwa polskiego dobrodziejstwem, był reformą dla kraju dodatnią; słowem, był istotnie s a m o r z ą d e m i był samorządem istotnie p o l s k i m.

Tak sprawę samorządu przedstawiają dziś jeszcze organy u g o d y: świadczą żalem swoim i rozczarowaniem, że patrzyli na projekt Aleksiejewa oczami Aleksiejewa i Hurki, że wyciągali poń ręce, jako po złote jabłko. Rozbieżność wynikła dopiero wówczas, gdy zaczęto się zastanawiać nad przeznaczeniem tego «jabłka». Hurko osądził, że dawać go Polakom nie należy, aby się nie «rozłakomili». Organy ugody na to odpowiedziały... łzami.

2.

Ugodowcy, starej i nowej daty (zwłaszcza tej nowej!) z niesłychaną dokładnością potrafili uzgodnić rytm serca swego z sercem Hurki, Aleksiejewa, Rakowicza i Stiszynskiego. Co tym panom smakuje, to i naszym zaczęło smakować ugodowcom. Co dla tamtych dobre, to i nasi za dobre wyznali. Gdy tamci zasiędą do uczty, natychmiast już i nasi głośno łykają ślinę, aby dać poznać, jak bardzo się z apetytem cudzym solidaryzują.

Zapomnieli wszakże o jednym... drobiazgu. Że oni za stołem prawicy rosyjskiej

nigdy do wspólnej nie zasiędą uczty; że podczas tej uczty jedynie podani być mogą... jako potrawa — na stole. Potrafili uzgodnić swe serca z ich sercami, i myśli swoje z ich myślami, ale zapomnieli, że serca niepodobna jest w niczyjej piersi zastąpić sercem cudzym, że w piersi każdy zatrzyma serce własne, i że... każdy własnym będzie trawił żołądkiem.

3.

Niechaj tedy ugodowcy płaczą sobie nad ruiną własnego złudzenia: my z nimi płakać nie będziemy. To co w dniu 25 Maja uległo zagładzie, nie było samorządem polskim.

Podwakroć wyrugowano z projektu polskość: 1) przez wprowadzenie języka wielkorosyjskiego, wbrew projektowi ministerjalnemu, do protokułu obrad w instytucjach samorządowych i 2) przez nadmiernie wyszrubowany cenzus majątkowy w ustawie wyborczej. I podwakroć wyparto zeń inicjatywę społeczeństwa: 1) przez oddanie organów samorządnych pod krępującą opiekę władz biurokratycznych i 2) przez upośledzenie warstw pracujących na korzyść obcej i rabunkowej, poczęści, jak w Łodzi — plutokracji.

Te poczwórne «rugi» sprowadziły, jak to wyjaśnialiśmy nieraz, istotę projektu do karykatury i szyderstwa z prawdziwego samorządu. Z chwilą, gdy za sprawą Aleksiejewa, stały się one faktem dokonanym, reforma projektowana utraciła wszelką wartość dodatnią dla kraju. Niepodobna się było nadal co do jej dobroczynności łudzić. Można się było jedynie zastanawiać nad tym, jak dalece skutki ujemne tej reformy dadzą się nam we znaki.

Kraj poniósł klęskę, i poniósł klęskę ciężką, ale nie w Radzie Państwa, i nie w dniu 25 Maja: klęska dotknęła nas o wiele wcześniej w Dumie, w owym dniu, gdy na wniosek Aleksiejewa wyparto z ram samorządu język polski i — lud polski.

Rada Państwa, obalając projekt Aleksiejewa, zniweczyła nie samorząd, lecz drwiny z samorządu. Przed stopami społeczeństwa polskiego zasypała nie źródło życia wzmacniające, ale dół wilczy. Znając jej pobudki, nie poczuwamy się do wdzięczności. Atoli, skutek oceniając, nie widzimy powodów do żałoby.

4.

Uchwała Rady Państwa, grzebiąca samorząd, ma i mieć będzie znaczenie raczej jako reflektor polityczny, niż jako polityczny czyn. Rzuca ona dwa snopy jaskrawego światła: przed siebie i za siebie; naprzód i wstecz. Sięgając dalekim promieniem w przeszłość, na jasną dobywa drogę działalność posłów naszych w obu izbach prawodawczych; dokumentalne ich siedmioletnim zabiegom wystawia świadectwo. Świadectwo, którego treść w jednym zamyka się wyrazie, w jednej okrągłej mieści się liczbie: w zerze. Snopem światła drugim uchwała Rady Państwa sięga w przyszłość, równie bezwzględną stawiąc djagnozę. Jeśli działalność posłów naszych dotychczasowa, jeśli cała ich przeszłość streszcza się w zerze, to przyszłość rokuje wynik gorszy. Mniemany realizm przedstawicielstwa naszego w Petersburgu okazał się tak bezpłodny, jak najbezpłodniejsza pod księżycem utopja. Jego zdobycze zostały w dziedzinie fantazji. Ale spowodowane przezeń straty niebawem do wrót naszych zapukają. Owóż jest słynny realizm ugody: realny w stratach, niepochwytny w zyskach.

Rada Państwa obróciła rezultat siedmioletnich zabiegów Koła Polskiego w niwecz: to jej zasługa. Wyłączną atoli Koła Polskiego, zasługą, która całkowicie na jego zapisana być musi rachunek, zasługą wiekopomną będzie odstąpienie na samorządzie polskim rabatu od sumy, przez samą biurokrację zaofiarowanej, rabatu znacznego na korzyść pana Aleksiejewa...

W przyszłym projekcie samorządu miejskiego, w projekcie najbliższym, jaki rząd nie omieszka prawdopodobnie wnieść pod obrady Dumy ponownie, język polski — tego możemy być pewni — z góry wykreślony będzie z ustawy: wszak dobrowolnie zrzekli się go w obu Izbach sami Polacy, a wiadomo: *volenti non fit injuria*. Licytacja tedy w nowym terminie rozpocznie się z góry od zniżonej już ceny, od ceny przez Koło Polskie przyjętej.

I to, na dzisiaj, jest jedyną «realną» zdobyczą, jaką siedmioletniej działalności naszego w Petersburgu przedstawicielstwa zawdzięczamy.

ORION.

Echa Prawdy.

I. O reformę szkolną w Galicji. II. Mobilizacja żydowska. III. Misa soczewicy.

I. Wartość wychowawcza i jakość naukowa średniej szkoły w Galicji muszą być niezachwycające, skoro Senat—powściągliwy i rozważny—miał odwagę rzec w głośnym już dzisiaj Memorjale szkolnym, iż coś się psuje w państwie oświaty i stąd rzucić cień podejrzeń na Radę Szkolną we Lwowie. O tym jednak wielu i przed Memorjałem wiedziało, iż do szkoły galicyjskiej trzeba się zabrać na dobre i tchnąć w jej zjedzone rutyną mury — nowe życie.

O tym też wiedziano, iż trzeba z niej usunąć jezuickie nawyki i jezuicką rękę, która czasem, miast dyrektora, w poszczególnych uczelniach rządy sprawowała.

O tym też wiedziano, że często obłuda, fałsz, przymus i serwilizm, wraz ze wstrętnym czarno-żółtym patrjotyzmem — wkraczały do c. k. szkoły w Galicji.

Teraz zaś dowiadujemy się wyraźnie z senackiego Memorjału, iż młodzieży studjującej na wszechnicy brak od szeregu lat zdolności do samodzielnego myślenia, opanowywania większych dziedzin nauki; brak zamiłowania do czystej wiedzy, połączony z karjerowiczowskim jedynym pragnieniem jaknajszybszego uzyskania patentu; brak w tej młodzieży polskiej na wszechnicy krakowskiej poczucia ładu, porządku, pracowitości, wreszcie Senat do tych kardynalnych przewinień i grzechów dorzuca oskarżenie, iż młodzież nie zna dostatecznie dziejów Polski i powszechnych, jakoteż języka polskiego, w którym się prawidłowo wysłowić nie umie.

Braki są i to poważne. Jakie tego przyczyny?

Karjerowiczostwo młodzieży to plon, którego siewcami są prawie wszyscy, co dostali się do stajni urzędowej, to pół Galicji, to domowe ogniska inteligiencji wszystkich zakątków od Białej po Husiatyn...

W społeczeństwach biurokratycznych, urzędniczych, a takim jest galicyjskie, na to narzekać trudno; karjerowiczostwo śród takich — to konieczność.

Dopiero z rozwojem handlu, przemysłu, krajowej zamożności i demokratyzacji—widma karjerowiczostwa i serwilizmu biurokratycznego muszą się wynosić, jako zbyteczne. Szkoła zreformowana w Galicji może wpłynąć na zmniejszenie się zastępu filistrów-karjerowiczów drogą wpajania w młodzież nowoczesnych poglądów na pracę i życie społeczne, iżby młodzież, za podszeptem domu, w urzędzie nie widziała celu jedynego.

Brak samodzielności myślenia -- skarży się Senat.

Przecież to zgoła zrozumiały objaw, logiczne następstwo systemu wychowawczego szkół średnich, w których bardzo często samodzielne myślenie uważa się za... wybryk.

W tych warunkach młodzież zapomina, iż wogóle samodzielnie myśleć można. Stąd również, ze szkoły pełznie ówo lenistwo. Młódź przemęczona i znużona zawiłym, długim, jednostajnym ślęczeniem szkolnym, odpoczywa na... wszechnicy, do czego się wielu szczerze przyznaje.

II. Mimo pozornych rozterek i sprzeczności między hufcami wielkiej armji ludu wybranego panuje cudowna harmonja. Sjoniści i asymilanci nibyto żrą się wzajemnie, a przecież, w ostatecznym wyniku, wszyscy idą społem. Tak jakoś pomyślnie, tak szczęśliwie składa się wszystko, że nawet skrajne różnice metod okazały się rzeczą pożyteczną. Co wydaje się nam wojną domową w obozie hebrajskim, jest w gruncie rzeczy bezwiednym podziałem pracy, wytężonej ku chwale Izraela i ku pohańbieniu jego wrogów.

Obaczmy, jak się ten podział ról dokonywa.

Na placówkach, wysuniętych wgłąb otoczenia, szermują działacze żydowscy bez wytchnienia pięknie brzmiącymi frazesami; słowa: «tolerancja», «postęp», «kultura», «humanitaryzm», «demokracja» trzaskają tam, jak mitraljezy, przyczym kanonada ma wyłącznie na celu wrogów żydostwa, pomija zato starannie okopy św. Trójcy na prawym skrzydle, gdzie zatarasował się wypierany zewsząd *filosemityzm*...

Wślad za tą krzykliwą awangardą żydowską toczy się ciężka artylerja, złożona z «powag» naukowych grubego kalibru. Stąd padają na głowy, Żydom niemiłe, ważkie pociski autorytetu. Że zaś koniecznym warunkiem powagi moralnej i naukowej jest *objektywizm*, przeto, by nadać sobie pozory powagi, żydowscy artylerzyści przebrali się za polskich, rosyjskich, francuskich, amerykańskich uczonych, filozofów, moralistów, socjologów, psychologów, profesorów, krytyków, ekonomistów i t. d., pełniąc w owym przebraniu żydowską powinność wojskową...

Dokoła tych ciężkich kolubryn hałasują jeszcze baterje małego kalibru, kierowane dłońmi mnogich tysięcy wojowników Judy, przebranych znowu za socjalistów, liberałów, radykałów, którym przewodzi liczny sztab działaczy, publicystów, korespondentów i dziennikarzy, rozstrząsających wszelkie zjawiska i fakty pod kątem interesów żydowskich. Tu już nieraz, z pod maski napół uchylonej, wyziera jawnie oblicze, wykrzywione mściwą nienawiścią; z pomiędzy wierszy prasy «lewicowej» syczą i kłębią się jadowite gady złorzeczeń, kłamstw i oszczerstw, którymi każdy wojownik

Sjonu ma prawo zadławić i zgładzić nieczystego wroga.

Tu już puszczono folgę nienawiści rasowej; zamiast przekonywać i zawstydzać wzniosłymi pryncypłami, zamiast onieśmielać i przytłaczać brzemieniem powag naukowych — strategja żydowska stara się zakrzyczeć, zapluć, zastraszyć, wdeptać w ziemię wszystko, co pochodowi ludu wybranego wpoprzek staje...

Żydowscy krytycy, recenzenci, esteci, snobi, kronikarze pieją w trzydziestu językach pochwalne hymny o wielkich ludziach, talentach i cnotach swego plemienia, jednocześnie zjadliwymi ciosy rażąc przeklętych jego wrogów...

A że są przeklęci, tedy wszystko względem nich dozwolone. Gdziekolwiek Żyd osiągnie przewagę, gdziekolwiek dorwie się do władzy — wnet ustanawia trybunał swojej *inkwizycji* i wypisuje *indeks* pism i rzeczy niedozwolonych... Świeżo np. w charkowskim Instytucie Technologicznym Żydzi wszczęli wielki rwetes o to, że czytelnia sprowadza dla Polaków «polskie gazety pogromowe»; potulny zarząd pośpieszył uczynić im zadość i skazać na banicję *Kurjer Warszawski*, *Dziennik Kijowski* i t. d.

Poprzednio jeszcze kijowska czytelnia akademicka, również na żądanie Żydów, z 15 pism polskich usunęła 12 ze swego lokalu, gdzie pozostały, jako naczelne organy prasy i myśli narodowej *Nowa Gazeta*, *Widnokrąg* i *Przegląd Codzienny*... Nadto bezradna i uległa młódź polska w Kijowie czerpie z *Kijewskoj Myśli* wiadomości o kraju, przyrządzone litwackimi dłońmi. To są jeszcze półśrodki. Dopiero tam, gdzie Izrael osiągnął zupełne władztwo materjalne, gdzie poczuł się panem wszechwładnym, spadła doszczętnie maska «humanitarnych» zasad z twarzy, wykrzywionych wściekłością. Tu Izrael pokazał co umie. Kiedy świat cały rozbrzmiewa skargami prasy żydowskiej na nieludzkość Polaków, którzy nie chcą znosić więcej ciosania kołków na swej głowie i wynaleźli straszniejszy od pogromu bojkot — jednocześnie z cukrowni żydowskich na Podolu i z tkalni żydowskich w Pabianicach masowo ruguje się Polaków, z domów i magazynów na Nalewkach wydala się nawet służbę polską, sprowadza się zaś Tatarów, mimo, że ci po pijanemu lubią turbować swych pracodawców... W Białymstoku żydowski drukarz obdarzony przez kahał godnością cenzora żądał od redaktorów miejscowej gazety polskiej, by mu dawano korekty do zatwierdzenia, a gdy się na to zgodzić nie chcieli, pismo zostało zawieszone.

Tacy są Żydzi «liberalni» i «tolerancyjni» jako żywioł uciśniony i szermujący wolnościowymi hasłami; coby zaś było, gdyby się stali w Polsce żywiołem władczym, dominującym?

Nietrudno sobie wyobrazić.

III. Koło polskie wyładowało swój patrjotyczny animusz dla odgrodzenia się od rosyjskiej lewicy, nie chcąc wchodzić do środka państwa rosyjskiego, a dziś «przejechało daleko poza środek» i znalazło się na prawym krańcu. Aby od tej strony ustawić przegrodę, zabezpieczającą mu jego odrębność, nie starczyło mu już ani przezorności, ani ochoty. Dziś już październikowców zostawili nasi posłowie na lewo i znaleźli się sam na sam z Bobryńskiemi i Zamysłowskiemi.

Aby dopełnić miary swego tchórzostwa zasłonili ten odwrót chłopską sukmaną Nakonicznego. Rzekomy demokratyzm zmusił ich do przyznania ministerstwu spraw wewnętrznych kredytu o pół miljona więcej, niż mu chciała udzielić Duma. «Byłoby to wielką krzywdą dla włościaństwa polskiego — mówił wiceminister Plehwe — gdyby skreślono sumę przeznaczoną dla niego na meljoracje rolne» i znalazł oddźwięk w sercach naszych posłów, do których zresztą mimistrowie zawsze bez trudu trafiali.

Zobaczmy, jak ten argument wygląda z blizka.

Październikowcy wyjaśniali, że nie chcą chłopu polskiemu czynić uszczerbku, chcą tylko oddać te pieniądze ministerjum, do którego mają większe zaufanie, czyli ministerjum rolnictwa. Koło polskie mogło stanąć na tym samym stanowisku, zwłaszcza, że poprzednio, w mowach swoich, dało wyraz bardzo uzasadnionej nieufności dla ministerjum spraw wewnętrznych.

Przypuśćmy nawet, że nie dotrzymaliby słowa i suma skreślona nie wypłynęłaby w żadnej innej pozycji budżetu. Gdy chodzi o meljoracje rolne, pół miljona jest tak drobną kwotą, że nawet pokusa była słabą. Włościaństwo polskie mogłoby ją sobie doskonale powetować na innej drodze, gdyby kierunek rządu pod naciskiem opozycji dumskiej uległ zmianie.

GROMICZ.

Na gorącym uczynku.

Pewni ludzie, pewne książki i pewne kierunki filozoficzne—są jak parasole: nabierają racji bytu dopiero podczas słoty; w dni słoneczne stają się nonsensem.

***

Jak nisko w Polsce upadły pochwały! Za pochwałę bywa liczone już to, że się komuś np. nie nadepnie na odcisk: «Lubię Leona Choromańskiego — rzekła pewna panna — za to, iż nie jest płaczliwym karawaniarzem».

ST. ROMANOWSKI.

Z literatury politycznej.

V.

S. ASKENAZY: Ks. Józef Poniatowski.

Mamy przed sobę nie słynną o ks. Józefie monografję historyczną, ale maleńką broszurę, zawierającą przemówienie p. Askenazego, w setną rocznicę zgonu bohatera na obchodzie krakowskim wygłoszone.

Nie wszyscy mogli w obchodzie tym d. 19 października r. ub. uczestniczyć osobiście, wszyscy atoli w tym dniu poczuwali się zapewne do uczestnictwa duchowego w uroczystości, będącej wielkim świętem narodowym. Wszak nie o błahą rzecz chodziło! Z ogromnej odległości, z falą całego stulecia, spłynęło ku nam imię Poniatowskiego: w jakiejż przekażemy je postaci wiekowi następnemu? Czy zolbrzymiałe, czy nie pomniejszone? Jako testament, czy już tylko jako legendę?

Oto, dlaczego przemówienie p. Askenazego tak żywo nas obchodzi: w takiej chwili i w takich okolicznościach, jakie mu towarzyszyły, stało się ono pierwszorzędnej wagi aktem politycznym. Na tej zasadzie właśnie broszurę nadmienioną, acz jest dziełem historyka, zaliczam do literatury politycznej.

Szczerze mówiąc, wszystkie prace p. Askenazego posiadają znaczenie także polityczne. Nawet te, które uchodzą za rzeczy ściśle historyczne. Jakżeżby mogło, zresztą, być inaczej? Wszak mówią nam one o dziadach naszych i pradziadach; wydają sąd o ludziach, którzy niemal bezpośrednimi byli sprawcami doli, w jakiej znajdujemy się obecnie; których czujemy niemal zgasły wzrok na sobie; których pamięć żyje w nas, jako cząstka naszego osobistego bytu. Jakżeżby książki te nie miały nas kształtować, skoro kształtują wizerunki osób drogich nam i osób przez nas na wieki przeklętych: kształtują miłość naszą i karm dają naszej nienawiści.

Ale ponad wszystkie inne studja związek bezpośredniejszy z polityką ma ta drobna rozmiarami broszura, która jakby kłosem dojrzałości politycznej wyrosła z niwy dociekań historycznych. Tu nie potrzebujemy już odgadywać intencji, utajonych na dnie książki: tu autor wprost swe intencje, swe ideały, swe uwielbienia wypowiada w postaci kanonu politycznego.

P. Askenazy jest nietylko profesorem historji. Jest, a przynajmniej chce być, także profesorem energji narodowej. I tym chceniem także wkracza w dziedzinę polityczną.

Mamy prawo zapytać: co w nią wnosi?

Wnosi, przedewszystkim, optymizm: rzecz dobrą; ale optymizmu tego dostarcza po cenie nadzwyczajnie nizkiej: rzekłbyś, jak towar zleżały, odstępuje go za bezcen, i — to nie wydaje mi się rzeczą dobrą.

Jak dalece płynie Askenazy rzeczywiście z prądem pospolitego optymizmu, rzekomo podtrzymującym energję narodową, jak tanimi środkami chciałby krzepić zdrowie narodu, o tym świadczy pojęta przezeń i wykonana w przemówieniu krakowskim apoteoza ks. Józefa.

Apoteoza ta, oczywiście nie daje miary ks. Józefa, ale da nam miarę ideałów Askenazego.

«Poniatowski — czytamy — sam nie mając partji własnej, miewał w każdej niechętnych. Byli tam ludzie tak źli, że okrzyczeli go za... wroga swego własnego narodu; a byli tak ciemni, że okrzyczeli go za czynnego masona, wroga swej wiary rodowitej» *(str. 20)*.

Zapytujemy, co znaczy to ostatnie zdanie? Czy mason był naówczas równoznacznikiem wroga narodu? I czy Poniatowski był masonem tylko dla swych nieprzyjaciół, dla osób sobie niechętnych? Czy nie był nim sam dla siebie? Czy o tym historyk polski nie wie? Ten sam, który herosowi masonerji polskiej wystawił dwutomowy pomnik? Jakżeż to pogodzić? Czy może masonerja Łukasińskiego była także ciśniętym nań oszczerstwem, przez osoby niechętne wymyślonym?

Jakież to śmieszne prostactwo: p. Askenazy głosi kult bohatera, któremu chwałę i wieczystą przypisuje zasługę, iż honor Polski ocalił, a jednocześnie sam w honorze tego bohatera coś poprawia, coś myje, jakąś plamę pobożnym zasłania kłamstwem: tai przynależność wodza do masonerji. Tai przed kim? Przed trybunałem historji? Ona wie o tym najlepiej. Przed historją Polski masonerja osłony nie wymaga. Czystymi wypisana była na jej kartach głoskami. Od Dąbrowskiego generała aż do Łukasińskiego świetnym w dziejach naszych zajaśniała szeregiem postaci. Więc nie przed sumieniem historji, ale przed kwoczką-opinją dzisiejszych uprzedzeń osłania p. Askenazy księcia Józefa, sądząc że to drobne względem opinji ustępstwo zrobić należy... w interesie pośmiertnej Poniatowskiego reputacji.

Małość!!!

Optymizm małości!...

Lecz kto z miarą takiej małości podchodzi do posągu bohatera, ten jakąż zastosuje miarę do narodu? Jaką mu wytknie kolej?

Książe Józef umarł. Zgon jego był wspaniały. Książe Józef umrzeć musiał: — powiada

Askenazy. Lecz gdzie tkwiła konieczność jego śmierci? Wszak nie była to śmierć przypadkowa, ale postanowiona. Postanowił ją w ostatnim swoim dniu Poniatowski; a postanowienie jego snadź było odbiciem jakichś głębszych przeznaczeń narodu: nie osobista wola, ale głuchy bunt narodu przeważył szalę jego decyzji: to czuje Askenazy, gdy pyta: «Czym był dla niego ten pobity Napoleon? Te wojska pierzchające, czym ta cała tragedja przegranej?»

Gdyby Poniatowski ocalić się był chciał, to jednym poruszeniem mógłby był znaleźć dla się wyjście i ratunek. Wystarczało mu — zawrócić konia, dać się poznać, ze szpadą spuszczoną stanąć przed Aleksandrem. Tam, w kwaterze rosyjskiej, czekało go przyjęcie pochlebne, łaskawość dobrotliwa najczarowniejszego z monarchów, któremu bardzo jeszcze mógł być pożyteczny.

Wystarczało mu — zgiąć się, aby ocaleć.

A potym?...

«A potym — pisze Askenazy (*str. 37*) — czekała go wizyta oficjalna na zamku u prezesa Rady Najwyższej Tymczasowej, generał-gubernatora warszawskiego Łanskoja: u wiceprezesa Jego Ekscelencji senatora Nowosilcowa; potym parada na Placu Saskim pod wielkim księciem Konstantym.»

«... To wszystko, i wiele więcej, ciągnie dalej Askenazy — będzie musiał naród. Ale potrzeba było, żeby ktoś, i to ktoś bardzo w narodzie wydatny, tego nie chciał, aby niechceniem swoim po wszystkie czasy *okazał*, że ten naród stary i wielki można podbić, ale poniżyć go, umniejszyć, ... niepodobna. Książę Józef nie chciał. Nie chciał schylić karku... Rzucił się naprzód i zginął.»

Oto w czym dostrzega Askenazy konieczności zgonu Poniatowskiego!

Poniósł on śmierć, aby po wszystkie czasy *okazać*, że...

Poniósł śmierć, bo trzeba było, żeby ktoś... żeby ktoś bardzo w narodzie wydatny... zginął, czyż tak, panie Askenazy? Żeby krew do ostatniej kropli wytoczył, żeby ją wytoczył sam jeden, za wszystkich, którzy pozostali w domu, którzy zawsze zostawali w domu, gdy garść ruszała w pole?

A więc śmierć Poniatowskiego była tylko demonstracją. To nie był czyn, to była tylko... chęć *okazania* światu, że...

Powiedzmy otwarcie: wedle Askenazego, Książę Józef zginął, aby narodowi swemu wyzłocić drogę... ku rezygnacji! Zginął ażeby naród niewolony mógł spać, i ażeby miał piękne w swoim głębokim śnie wspomnienia.

«... To wszystko, i wiele więcej, będzie musiał naród; ale trzeba było, żeby ktoś...»

W tym zdaniu jednym, w tej straszliwej antytezie, potwierdza sam siebie i przytakuje sobie paraliż całych ostatnich lat 150-ciu dziejów polskich.

Bo posłuchajcie: podwakroć Sejm Rzeczypospolitej podpisał wyrok rozbiorczy, podpisać musiał, więc trzeba było, żeby ktoś, i to ktoś bardzo w narodzie wydatny jak Reytan... jak Kościuszko... zdobył się na... gest.

Oto, za jednym zamachem, całe dzieje polskie zdegradowano na poziom łańcucha mniej lub więcej udatnych demonstracji i protestów, łańcucha, w którym nawet śmierć bohaterska w boju bywa tylko krwawo-lśniącą rakietą.

Dlaczegóż, za innymi, powtarza Askenazy o Poniatowskim: ocalił honor Polski? Przecież w takiej roli, jaką mu przypisuje Askenazy, był on nie zbawcą honoru swej ojczyzny, ale raczej stał się dla niej fundatorem hańby: albowiem on krwią swoją i śmiercią swoją kupił dla rodaków prawo do haniebnej nieczynności: on tylko nagość ich zrezygnowanej biedoty po królewsku szkarłatem krwi swojej przyodział. Sprawił ofiarą swą, że każdy dzisiaj pachoł ugody, terorem oślepiony, znajduje ulgę występną i fałszywą pociechę w przypomnieniu: Nasz Książę Józef Poniatowski! Bohater! Nasz! A przypomnienie to bynajmniej go nie podnosi, nie prostuje, nie wspiera: ono — we wskazaniach Askenazego — daje tylko rozgrzeszenie z upadku, tylko na dalszy byt pełzaczy marnocie ludzkiej daje przyzwolenie. Wszak na to właśnie ktoś tam — i ktoś wydatny — zginął, aby reszta, na wegetację skazana, w pogodzie ducha wegetować mogła, bez wstydu dla się i — bez bólu.

Otóż jest owa, wedle Szymona Askenazego, ewangelja optymizmu! Ewangelja, która na trumnę bohatera wskazuje, jako na zapas rozgrzeszeń dla kwietyzmu, jako na źródło niewyczerpalne odpustów dla słabości, tchórzostwa, sobkostwa, prywaty i małości ducha.

Nie, nie i jeszcze raz — nie! Heroizm jednego nie jest zwolnieniem od pracy i wysiłku wytrwania dla innych. Że jeden wyrósł nad miarę ludzką, to-ż ma być dla miljonów upoważnieniem, iżby popod ludzką miarę upadali?

Z tablicy przykazań narodowych, raz na zawsze wykreślić trzeba ową zabójczego przeciwieństwa apoteozę: *to wszystko będzie musiał naród, ale trzeba, żeby ktoś*... Skończmy raz nareszcie z jutrznianą grandilokwencją wiary w Króla-Ducha, która w życiu praktycznym staje się poprostu poszukiwaniem kozła ofiarnego.

Heroizm nie na tym polega, aby nad cmentarzyskiem narodu rozpinać tęcze chwały, lub — co już z sarkazmem graniczy — koszta cudzej wyrównywać sromoty, ale na tym, by, wielkim będąc, innych ku wielkości prowadzić.

Z. MIERZEJEWSKI.

Na czasie.

Jakże często słyszeć dają się lamenty w społeczeństwie naszym z powodu gromadnego wyjazdu młodzieży poza obręb Królestwa Polskiego i zupełnego braku jej w Warszawie! Społeczeństwo, najwidoczniej nie wie, że młodzież posiada, że młodzieży, studjującej na różnych kursach wyższych, jest obecnie w Warszawie więcej, niż przed laty dziesięciu liczył Uniwersytet Warszawski łącznie z Politechniką (około 2,000). Młodzieży tej ze strony starszego pokolenia należy się pilniejsza uwaga. Jej myślom, głębsze rozumienie. Jej dążeniom, żywsze współczucie. Jako próbę wzajemnej wymiany uczuć i myśli, dajemy poniżej artykuł, zaczerpnięty z dwutygodnika *Ruń*, pisma, które znacznemu odłamowi młodzieży służy za placówkę dojrzewającej samowiedzy.

Redakcja.

Niezadługo staniemy wobec faktu znaczenia ogromnego: dziesięciolecia istnienia szkół polskich. Jeśli kto kiedykolwiek był w tej szkole, czy miał z nią choćby jakąś styczność, wreszcie o ile zastanawiał się nad jej znaczeniem, ten nad tym faktem nie przejdzie do porządku dziennego, lecz zechce się weń wgłębić, dotrzeć do samego źródła, a z historji tego niedługiego okresu wyprowadzi jaknajwięcej.

Ale nie trzeba jubileuszów, czy specjalnych rocznic tam, gdzie sprawa zawsze żywa i ważna, by dopiero ją zrozumieć i ocenić, i nie tylko wtedy czas i miejsce dla zwrócenia baczniejszej na nią uwagi, lecz przeciwnie, ta uwaga musi być zawsze natężona, czujna, a rocznica — raczej świętem, świętem narodowym. Czas, zda się, dostateczny po temu, by rozejrzeć się szczerze i poważnie w rozwoju szkolnictwa polskiego. Musimy zdać sobie sprawę z dorobku naszego, a o ile tenże okaże się zbyt mały — pomyśleć o jego zwiększeniu.

Zaś nigdy rąk nie opuszczać!

Wobec powszechnych utyskiwań na obniżenie się poziomu naukowego szkół średnich galicyjskich, senat „pomny wskazań, jakie zostawił Uniwersytetowi Jagiellońskiemu jego wielki reformator, Kołłątaj, jako najwyższej uczelni, która ma organiczną tworzyć całość z ogółem szkół... postanowił sumiennie zbadać, czy te głosy prawdę mówią, a jeśli tak, zawołać na trwogę."

Referaty Wydziałów dały wyniki fatalne. Najsilniej uderza brak wyrobienia zdolności myślenia — „nieumiejętność formułowania myśli zarówno w słowie jak i w piśmie, nieumiejętność uczenia się, brak rozwinięcia pamięci i zmysłu obserwacji." Senat radzi zapobiegać tym wszystkim niedomaganiom na dwuch drogach: podnieść poziom przygotowania pedagogicznego i dydaktycznego nauczycieli przez reorganizację studjum filozoficznego, a następnie starać się naprawić samą szkołę.

Ta jest w Galicji· A u nas?

Oczywiście, że na brak dostatecznego przygotowania żalić się nie można, więcej nawet, napływ młodzieży z Królestwa na Wszechnice Galicyjskie napewno przyczynił się do wykazania braków tamtejszych szkół; ale czy to już wszystko? Czy szkoły polskie dostatecznie wychowywają, czy kształcą charaktery swych wychowańców, wskazując im na wielkie ideje i puściznę po ojcach, wreszcie jaki jest stosunek nauczycieli do uczniów i do samej szkoły? Gdyby można było dać na te pytania odpowiedzi ścisłe, byłoby to już bardzo wiele. Niestety. Brak jakichkolwiek danych nie pozwala na wyprowadzenie faktycznych wniosków. Jedynie polegać można na tym co się widzi i słyszy. A to nie jest zbyt pocieszające!

Niema, a w każdym razie postokroć zamało szczerych wychowawców, ludzi zamiłowanych w swej pracy i służących wiernie swym zadaniom. Częstokroć stosunek ich do szkoły jest zgoła formalny, bierny. Brak należytego współżycia i zainteresowań, łączącyca młodych z ich kierownikami węzłem prawdziwej przyjaźni. A to jaknajgorzej wpływa na stosunek ucznia do uczelni, na jego wewnętrzny rozwój, skalę zainteresowań, na jego ogólną odporność! Temu trzeba zaradzić. Młodzież musi ze szkół polskich wychodzić bardziej hartowna i wewnętrznie dojrzała. Musi być przygotowana do trudu i pracy, która ją czeka zrazu przy zdobywaniu „praw", później na tułaczce wśród obcych, wreszcie na własnym zagonie!

Kiedy młodzież bardziej silna i poważna opuszczać będzie mury swej szkoły, to kultura zachodu nie zaimponuje jej tak mocno, że z przykrością myśleć będzie o powrocie do kraju; nie będą rumienić się na myśl że są Polakami, „kuzynami z prowincji wobec starszych braci", gdy ich olśni morze cnót moralnych, umysłowych i politycznych Rosjan, ani nie będzie tylu rozbitków, niemal po całym świecie rozrzuconych.

Jeno trzeba się skupić, więcej planowej pracy i zamiłowania, więcej odporności i hartu!

Trzeba nawiązać silniejsze ogniwa między szkołą a młodzieżą nietylko na czas jej przebywania tam, lecz i później, jaknajdłużej.

W chwilach niepokoju i rozterki bolesnej, w czasie niepowodzeń czy też braku pomocy materjalnej, młodzież polska powinna w swej szkole znajdować najlepszą radę i pomoc skuteczną. A wtedy społeczeństwo prędzej się czegoś dowie o swych synach, szkole łatwiej zdać będzie sprawę ze swych usiłowań, a młodzieży — znośniej pracować w oddali.

Dobrze jest zalecać „amerykanizowanie" młodzieży, stawiać za wzór owych self-made-men'ów, zdumiewających świat niezmożoną energją i siłą, jednak o jednym zapominać nie wolno: o przygotowaniu. A tego dziś niema, i o tym przedewszystkim pomyśleć trzeba zarówno w domu jak i szkole.

AMBO.

Tajemnice Nalewek.

1.

Od chwili kiedy zbudzona czujność narodowa zajęła się sprawami handlu i przemysłu — czynimy coraz to nowe odkrycia. W jarzącym blasku liczb jawi się nasze upośledzenie. Dwa rwące strumienie złota płyną przez kraj; potężny przemysł włóknisty trzy czwarte wytwarza na zbyt do Rosji, a dochody, jakie stąd czerpią fabrykanci niemieccy i żydowscy, sięgają stu pięćdziesięciu miljonów rubli.

Drugi, niemniej obfity, strumień złota napływa do Warszawy — ściślej: na Nalewki. Tam bowiem, w sercu dzielnic żydowskich, ogniskuje się olbrzymi handel bławatny i galanteryjny, kwitnie jedno z największych w Europie środowisk wymiany i pośrednictwa między Wschodem i Zachodem. Z tego powodu słychać nieraz natchnione głosy o wielkiej roli, o świetnej przyszłości Warszawy; są to naiwne zachwyty, bo prawdziwa, polska Warszawa nietylko nic nie zyskuje na dochodach, od których pęcznieją kieszenie hurtowników z Nalewek, ale ponosi poważne szkody moralne, bo kupcy żydowscy nie przebierają w środkach, a wskutek ich nierzetelności, miasto nasze słynie na szerokim świecie jako wybitne centrum oszustów i złodziei, z którymi lepiej nie zadawać się wcale.

2.

W północnych dzielnicach miasta, kędy rdzenny mieszkaniec przypadkiem chyba zabłądzi, wznoszą się wielopiętrowe gmachy, od piwnic do strychów zajęte na sklepy, kantory i składy. Prawie cała Rosja i dalszy nawet Wschód zaopatruje się tu w konfekcję damską i wyroby galanteryjne. Hurtownicy zaś tutejsi sprowadzają towar przeważnie z zagranicy, z Niemiec, Czech, Austrji, Szwajcarji, Francji, Belgji i t. d. Sprzedaż sezonowa odbywa się dwa razy do roku; przed „sezonem“ kupcy warszawscy wyjeżdżają na parę tygodni po zakupy do głównych środowisk przemysłu i handlu na Zachodzie. Trzeba zaznaczyć, że galanterja jest specjalnością *drobnego przemysłu domowego*, który na ziemiach polskich prawie nie istnieje, a zagranicą zatrudnia miljony rąk. Wyrabia ten przemysł pierścionki, broszki, spinki, rączki do lasek i parasoli, klamry, kamienie i klejnoty sztuczne, wachlarze, grzebienie, łańcuszki, papierośnice, breloki, pióra, bibeloty, zegarki, chusteczki, koronki i t. d. Kupcy warszawscy zakupują olbrzymie zapasy bądź wyrobów gotowych, bądź też, wobec utrudnień celnych, poszczególne części, które zestawia na miejscu Żyd-rękodzielnik. Dzięki temu drobny przemysł galanteryjny istnieje w kraju naszym prawie wyłącznie wśród Żydów, ostatnimi zaś czasy widać już celowe i metodyczne popieranie tej pracy przez różne Towarzystwa żydowskie.

Dla wyżej wymienionych wyrobów jest Rosja kolosalnym rynkiem zbytu wespół z Dalekim Wschodem, gdzie jednak specjalne warunki wymagają specjalnej znajomości rzeczy.

Moskwa sama czyni u nas zakupy na wiele miljonów, a kupiec moskiewski płaci gotówką. Nie znając języków obcych i nie orjentując się zagranicą, przeciętny kupiec moskiewski, zamiast czerpać wprost u źródła, dociera do Warszawy i poprzestaje na zwiedzaniu hurtowni i składów na Nalewkach.

3.

Nigdzie handel sam przez się nie gra w gospodarstwie społecznym roli pozytywnej i twórczej. Kupiec jest pośrednikiem pomiędzy wytwórcą i spożywcą; w naszych warunkach żywioł obcy pośredniczy pomiędzy wytwórcą przeważnie obcym, i niemniej obcym spożywcą, szachrując ile wlezie i starając się oszukać wszystkich dokoła siebie: oto cecha główna „naszego“ handlu. To też Warszawa uchodzi zagranicą za kryjówkę notarycznych złodziei i oszustów: taką renomę wyrobili nam żydowscy notable z Nalewek, otoczeni respektem czerni chałatowej i nie czyniący sobie najmniejszych skrupułów ze światem aryjskim. Skargi na zupełny brak etyki i rzetelności kupieckiej u Żydów w ich oczach uchodzą za szczucie antysemickie; dość jednak pomówić z wytwórcą zagranicznym w krajach takich, jak Belgja lub Szwajcarja, gdzie chyba żydożerców niema; wszędzie usłyszymy zdanie dobitne:

— *Les juifs de Varsovie sont tous des voleurs!*

Albo:

— *Ja, mit Warschau und Nalewki haben wir sehr trübe Erfahrungen gemacht, das Wort „Warschau“ wollen wir nicht mehr hören!*

Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby odróżniano handel polski od żydowskiego; ale dostawca zagraniczny nie rozróżnia Warszawy od Nalewek; trudno mu się dziwić, wielu z nas czyni to samo...

Gospodarka żydowska w handlu jest nawskroś rabunkowa: wszystko stoi tam na zasadniczym *szwindlu*. Kupiec otwiera sklep hurtowy z kapitałem 3 tysięcy rb., często bez grosza w kieszeni; obraca setkami tysięcy, bierze na kredyt u wytwórców zagranicznych, pełnych zaufania, a gdy zbliża się termin płatności, robi wyprzedaż za bezcen (skutecznie konkurując

z handlem chrześcijańskim), chowa pieniądze gdzieś w miejscu bezpiecznym i — zawiesza wypłaty, czyli w języku potocznym robi „plajtę“, zyskując sobie na Nalewkach opinję „tęgiej głowy“; trzeba słyszeć, z jakim uznaniem i podziwem wyraża się o nim brać mojżeszowa, cmokając wargami!

Inny proceder klasyczny polega na sprowadzaniu koleją cennych towarów zagranicznych, które leżą na komorze, bo chytry kupiec z Nalewek nie kwapi się po odbiór... Tymczasem „składowe“ rośnie, dostawca zachodzi w głowę, co się tam stać mogło w Warszawie, wreszcie kolej wystawia towar na licytację, a wtedy zgłasza się dopiero „kupiec“ i nabywszy towar, może go później sprzedawać za pół ceny; czyż można dziwić się, że przedstawiciel pewnej firmy alzackiej, któremu zrobiono kilka razy ten „kawał“, wyrażał się później o Warszawie i Polsce tak dosadnie, że trudno nam słowa jego przytoczyć... Na domiar złego, ajentami firm zagranicznych są przeważnie Żydzi, którzy cichaczem ułatwiają robotę swym nalewkowskim kuzynom, a wzamian otrzymują pewną część „zarobku“. Tak pracują kupcy z Nalewek.

4.

Odbiorca rosyjski również narzeka na warszawskich pośredników, na ich niechlujność, niesłowność, nierzetelność i tę szczególną, żywiotową skłonność do szachrajstwa, która stanowi talmudyczne dno duszy żydowskiej. Zarówno przemysłowiec zagraniczny, jak i kupiec moskiewski chętnie nawiązałby stosunki z kupcami chrześcijańskimi w Warszawie, gdyby ci zabiegali o to poważnie i energicznie. Wiadomo, jak pochlebnie wyróżnia rosyjski odbiorca jedną jedyną polską hurtownię galanteryjną, która mieści się na Lesznie, koło Orlej.

Każda podobna firma, założona w okolicach Nalewek, liczyć może na łatwy zbyt nietylko w Rosji oraz na Dalekim Wschodzie, lecz, co może ważniejsze, wśród prowincjonalnych naszych kupców, którzy dotychczas muszą czynić zakupy u hnrtowników żydowskich.

Niewolno również zapominać, że rozwój polskich hurtowni galanteryjnych w Warszawie spowoduje niechybnie rozkwit *przemysłu domowego* w kraju naszym, gdzie tyle rąk po wsiach czeka na robotę. Dzięki firmie B-ci Orszagh rozwinął się już w pewnym zakącie gub. warszawskiej wyrob guzików z masy perłowej, będący dotąd specjalnością francuską. Gdyby u nas powstał wielki handel polski, toby niezawodnie powołał do życia setki takich ośrodków pracy, na co z utęsknieniem czeka ludność, której ziemia wykarmić już nie może.

Nie dość na tym. Wszechmoc hurtowników żydowskich pozwala im zuchwale drwić z usiłowań gospodarczych narodu polskiego, które mogą dać się we znaki drobnym detalistom, lecz odbijają się o potężne twierdze Nalewek, twierdze, regulujące po nad naszemi głowami wymianę Wschodu i Zachodu. Dzięki zupełnej swej niezależności od krajowego rynku, mogą owi rycerze „plajt“ i „szwindlów“ zasilać i podsycać wszystkie machinacje, skierowane przeciw społeczeństwu polskiemu w kraju i zagranicą.

Już to jedno wystarcza, by z całą energją podjąć szturm do tych groźnych twierdz i nie spocząć, póki handel polski nie stanie silną stopą na Nalewkach,

5.

Niedość polegać na tej przewadze moralnej, którą zapewnia rzetelność, sumienność i ścisłość w interesach, należy również puścić w ruch ulepszone metody handlu nowoczesnego, zwłaszcza metody współdzielcze. W ten sposób mogłaby powstać na Nalewkach pierwsza wielka hurtownia galanteryjna polska, do której przystąpić powinni, na zasadach współdzielczych, detaliści polscy tej branży z Warszawy i prowincji. Domniemany zysk, według obliczeń ścisłych, wyniósłby minimalnie 10%. Lecz takie przedsiębiorstwo wymaga fachowej znajomości rzeczy. Na czele musi stanąć kupiec, obeznany z rynkiem krajowym i rosyjskim i otoczony sztabem subjektów polskich, pościąganych z wielkich miast Cesarstwa i znających dokładnie gusta i obyczaje tamtejszej kljenteli. Nie ulega uajmniejszej wątpliwości, że taka hurtownia solidnie prowadzona, mieszcząc się w północnej handlowej części miasta, ściągnie ku sobie odrazu znaczną część odbiorców rosyjskich i wybije dotkliwy wyłom w murach twierdzy, skąd Żydzi zuchwale i drwiąco na nas spoglądają. W dalszych zaś wynikach pozwoli może tej prawdziwej, polskiej Warszawie wziąć udział czynny w pośrednictwie pomiędzy Wschodem i Zachodem, w dziele doniosłem, które szwindlarze żydowscy zdążyli zagarnąć i dostatecznie zohydzić.

A. D.

Skry.

Próba definicji.

Wincenty Lutosławski = humorysta o głębszym podkładzie.

***

Ponad ludzkością stoi Bóg, który ją stworzył. Ale nad Bogiem stoi Człowiek, który go wymyślił.

W. ORŁOWSKI.

Przestroga.

Już rozpoczęły się wśród nauczycieli starania o zdobycie na przyszły rok szkolny lekcji w prywatnych szkołach polskich. Jest bowiem wiosna, najodpowiedniejsza pora roku dla nauczyciela, aby znalazł taką liczbę godzin pracy tygodniowej, któraby mu zepewniała byt. W tym czasie zmieniają się nauczyciele w szkołach, jedni wyjeżdżają ordynarnie na bruczek, inni wyjeżdżają na prowincję, jeszcze inni kuszą się o zdobycie pracy w Warszawie. Rozpoczyna się sezon zgłaszania usług swych do łaskawego ucha przełożonych. Przełożeni szkół mają w czem wybierać, całe falangi bowiem ludzi poszukują lekcji. I to jest tragiczne — lekcji bowiem wolnych nie ma.

Jeżeli, przypuśćmy, w całej Warszawie wakuje we wszystkich szkołach liczba posad nauczycielskich *n*, to nie pomylę się, jeżeli powiem, że kandydatów jest 5 razy tyle niż posad. I gdyby sprawiedliwie chcieć obdzielić pracą wszystkich aspirantów bez wyjątku, to sądzę na każdego nauczyciela wypadłoby niespełna od 5—10 zaledwie godzin tygodniowo. Oto jak opłakane wytworzyły się warunki w tej sferze naszej inteligencji, jak niewspółmierny stosunek pomiędzy popytem a podażą! Dlaczego znalazło się aż tylu ludzi z wyższym wykształceniem, którzy w swym niedołęstwie życiowym doszli do takiej perspektywy życiowej? Nie dość na tem — spojrzyjcie w wnętrze murów uniwersytetów galicyjskich — tam już nowe rzesze studjują z zapałem literaturę, stosy celnych rękopiśmiennych prac składa się na ołtarzu nauki. Gwarno i rojno w seminarjum prof. Chrzanowskiego w Krakowie. Nikt nie zastanowi się i nikt nie pomyśli nad tem, co stanie się z temi absolwentami, nadzwyczajnymi lub zwyczajnymi słuchaczami, doktorami filozofji, z których niejeden ze 3 lub 4 półrocza spędził w salach bibliotecznych nad studjowaniem poglądów estetycznych zacnego ś. p. Stanisława Konarskiego lub dowiódł, w czym zapożyczył się w satyrach Naruszewicz u Boileau, lub też przebrnął przez filozofię Bergsona i napisał na jej tle doktorską pracę. Ileż to zbytecznych napisano prac choćby o wyprawie Sobieskiego pod Wiedeń...

Nareszcie słuchacz otrzymał absolutorjum lub też odziano go w togę doktorską. A teraz? — Co dalej? Trzeba znaleść lekcje — kiedyś trzeba zacząć zarabiać, jedyne to nieomal pole zarobkowania dla byłego słuchacza filozofji. Lecz lekcji niema. Czyż wciąż bezradnie patrzeć będzie społeczeństwo na zwiększanie się proletarjatu inteligencji, gdy tymczasem tyle ugorem leży dziedzin pracy — gdy tyle innych dobrowolnie w cudze ręce oddajemy. Ileż to bogactw jest jeszcze do wydobycia z polskiej ziemi! — Kto sprawia i w imię czego tak się dzieje, że studjuje się archeologję, numizmatykę, historję sztuki, filozofię ścisłą, a tylu i tylu historję literatury — dlaczego?!. I studjują właśnie ci, którzy później zmuszeni są eksploatować te studja dla zdobycia codziennego chleba. Oto jak wżarła się w nasze życie rutyna: stąd rosną zastępy ideowych niedołęgów, rozgoryczonych bankrutów, ludzi którzy przeklinać się nauczyli od jędz Makbeta, ale nie wiedzą co to jest galman i czy wogóle jest on w Polsce?...

Dość tego! Dość! Trzeba zawołać mocnym głosem: nie wolno nam marnować ludzi, nie wolno produkować istot, nie przystosowanych do życia...

Nie jestem przeciwnikiem demokratyzacji nauki, zwiększenia kadrów inteligencji, niech jednak ten wybór zawodu przyszłego inteligenta, odbywa się nie na ślepo, pod wpływem uczucia lub fantazji. Nie możemy sobie pozwolić, my Naród na dorobku — na tracenie bezużytecznie młodej energji. Trzeba powstrzymać choćby w tym zakresie, napływ młodzieży naszej na wydziały filozoficzne. Nie garstka to bowiem, ale najmniej pół tysiąca młodzieży z Królestwa z warstw średniozamożnych lub niezamożnych odbywa studja na wydziałach filozoficznych w obydwóch polskich uniwersytetach w Galicji. Znaczna część z nich to przyszli kandydaci do posad nauczycielskich w prywatnych uczelniach warszawskich, za kilka lat ujrzymy ich tu wśród nas w Warszawie, poszukujących lekcji... Do bram tych sezamów, dobijać się będą większe rzesze niż dziś... I oto po pięcioletniej mordędze dowiedzą się, że są niepotrzebni społeczeństwu, że niema dla nich miejsca.

Czas już najwyższy, aby sprawa wyboru zawodu, była nie tylko przedmiotem tego lub innego artykułu, ale aby pomyślała nadtem sama młodzież, wskazywać tu winni drogę i pouczać kierownicy w szkołach, stowarzyszenia nauczycielskie mają tu doniosłą rolę do spełnienia. Powinny te instytucje zająć się wydaniem odpowiedniej broszury pouczającej o tem — jakie dziedziny pracy, w jakich częściach kraju są do wyzyskania dla przyszłych pracowników. Nic podobnego dotąd nie uczyniono. Sądzę, że oszczędzono by w ten sposób bardzo wiele przykrości, zawodów i rozgoryczeń płynących z obecnego stanu rzeczy. Pod względem nadprodukcji nie przystosowanej do życia inteligencji powoli zaczyna się Królestwo upodabniać

Galicji, tylko że tam chociaż pewien odpływ znajdują te żywioły w urzędach autonomicznych kraju, u nas mowy o tem niema. Sprawa ta o której mówimy, w obecnej chwili, gdy ze szkół polskich wyjdą nowi maturzyści i zwyczajem lat dawnych udadzą się na studja wyższe w znacznej części do Galicji, powinna znaleść oddźwięk żywy wśród myślących kół młodzieży, które we własnym swoim i społecznym interesie, ufam w to, że zaniechają tłumnej emigracji naukowej na wydziały filozoficzne, a zwrócą się ku źródłom wiedzy, którąby otworzyła przed nimi perspektywę opanowania czynnego warsztatów pracy wytwórczej w kraju.

M. DĄBROWSKA.

Linje oporu.

6.

Obok braku odpowiedzialności wszelkiej za życie, nawet własne, a cóż dopiero zbiorowe, obok braku poczucia wspólnego — jednym z cięższych naszego, aby tak rzec zbiorowego charakteru załamań jest szukanie zawsze i we wszystkim linji najłatwiejszego oporu.

Leży ta cecha tak głęboko w nas zakorzeniona, ze stała się jakby jednym z prymitywnych założeń naszej duszy. Wszystko jedno co i z jakiej strony podejmujemy. Ona się może objawić we wszystkim. Junakierja nasza ma charakter turniejowy—w gruncie rzeczy nie jest istotną potrzebą *życiową*. Nie tkwi w nas, jak naturalny głód, chęć szukania dróg trudnych. Do wszystkiego zabieramy się jak do rzeczy łatwej i *tylko wtedy, kiedy wierzymy*, że taka jest. Pierwszy impet natarcia mija, rzecz okazuje się trudna—chwila oszołomienia i porażka. Taką jest psychologja wszystkich naszych „szaleństw“.

Z tym szukaniem linji łatwego oporu łączy się brak odpowiedzialności, i to wszystko nadaje wysiłkom naszym charakter reaktywny, więc łatwiejszy; stokroć jest bowiem łatwiej zareagować, niż akcję własną z siebie wysnuć.

Nieraz przemyśliwa się długie godziny nad tym dlaczego tak jest. Dlaczego my sami wyznajemy, że dobry jest ucisk dla pobudzenia polskości (dla przyzwoitości nie pisze się tego nigdy, ale mówi się to). Dziś widzę.

Jest to owo czekanie, co zrobi siła niezależna od nas i dopiero potym działanie wedle tego, co nam z zewnątrz idące przyczyny narzucą. My się już zgóry zawsze uzależniamy od tej siły, z którą mamy iść w zapasy, lub od jakiejkolwiek siły z zewnątrz idącej. Bo wszelki czyn z nas poczęty, w naszego życia głębi poszukany, agresywny, byłby już trudny, już zwalczenia potężnych tarć wymagający.

Stokroć łatwiej czekać aż tę część twórczą owo *rodzenie akcji* inni za nas podejmą, nam reakcję jeno zostawiając.

To znowu wieczny, będący jakby syntezą wad naszego charakteru porozbiorowego, Skrzynecki, który w nas pokutuje!

7.

Przykłady tego rodzaju postawy wobec najważniejszych zagadnień zewsząd czerpać można.

Linją najmniejszego wobec wymagań dziejowych oporu było dawne życie całej szlachty polskiej. Żadnego zagadnienia nie chciano rozwiązywać samego w sobie, z żadnego nie chciano wysnuć prostej jego konsekwencji, każdego trudność załatwiano momentalnem podsunięciem drugiego — fuksem.

Tem była cała „złota wolność“ szlachecka. Niczem innem, jeno możnością wybiegiwania się od rozstrzygnięcia spraw; jeno ślizgawkowym torem, po którym z błyskawiczną szybkością zjeżdżały w nicość bez tarcia straszliwe znaki zapytania, zostawiane bez odpowiedzi.

Niczem innem, jak ciągłą swawolną ucieczką przed drogą najtrudniejszą, wymagającą *całej* odpowiedzialności.

Tem było i „liberum veto“, dźwięczące wtedy, kiedy nad sejmem stawała duszna trudność konfliktu, nieubłagana konieczność rozwiązania.

„Liberum veto“ za objaw wysokiego indywidualizmu poczytane, a będące wartości indywidualnej całkowitem zaprzeczeniem. Było bowiem tem, czem się w historji oznajmiało, dowodem zupełnej jednostek niemocy wobec zagadnień.

8.

Byli może królowie, jak Przemysław, Kazimierz, Zygmunt August, Batory, były poszczególne jednostki, jak Zamoyski, Żółkiewski, były i wybuchające tu i tam zbiorowe czyny, jak próba stworzenia kościoła polskiega, świadczące o twórczej wobec życia woli, o chęci podjęcia odpowiedzialności za najtrudniejszą drogę — ale zawsze ostatecznie kończyło się tym strasznym lenistwem wobec dziejów i wobec pracy nad własną duszą.

Była w nas i świadomość grzechów, może silniejsza niż gdzieindziej, co się tłomaczy naskroś intuicyjną i subtelnie, choć zwiewnie inteligentną naturą Polaka — lecz nigdy nam nie stało sił charakteru do wewnętrznej przebudowy. Bo byłaby to już praca na daleką metę, a my jesteśmy przedewszystkim ludźmi chwili. Na

dalszą metę i powoli lubimy działać tylko wtedy, kiedy chwila wymagałaby zbyt wielkiego wysiłku i pokonania zbyt wielkich tarć. (Przykład: stanowisko ugodowców polskich wobec zasadniczych postulatów życia narodowego.)

9.

Owo szukanie drogi najłatwiejszego oporu objawia się u nas jeszcze w szczególnej postaci szukania kompromisów. Nie są to o dojrzałości świadczące sojusze między różnymi odcieniami społeczeństwa, czynione w imię wyższego rzędu wspólnych zagadnień, lub ku „najhumanitarniejszemu wyjściu z konfliktu"—ale pospolite ugody i zmowy jedynie dla świętej zgody, bez żadnej głębszej myśli zawierane. Stąd każda sprawa zdaje się z kompromisu czerpać swą siłę, gdy właściwie czerpie zeń słabość.

Typowym również przykładem szukania najłatwiejszej drogi jest metoda wyrzeczeń. Gdy cel, do którego dążymy, zbyt wiele trudności nastręcza, miast do trudności tych sprężyć całą naszą siłę, do ich pokonania wszystkie możliwości wyzyskać, — my poprostu wyrzekamy się celu — albo jego części — obcinamy ideał, miast siebie powiększyć o tyle, by do niego dosięgnąć.

Tako pracę społeczną widzimy jeno możliwą, gdy się wyrzekniemy aspiracji politycznych; aspitacje polityczne chcemy obcinać o całą pracę kulturalno-społeczną.

10.

Rezultaty tego rodzaju techniki życia są jaknajbardziej niespodziane i mściwe.

Jak kara, nasze własne lenistwo dziejowe, bezodpowiedzialność i szukanie łatwego oporu—spada na nas męką, niedolą i trudem. Jesteśmy męczennikami naszej przed męką i trudem ucieczki. Napotykamy ją tam, gdzieśmy sądzili właśnie znaleźć wypoczynek. Bo nikt się od męki i trudu nie wymknie. Kto nie chciał jej jako środka, znajdzie ją jako rezultat.

We wszystkich krajach działo się całkiem przeciwnie, tak, że niemal prawo socjologiczne możnaby z tego wyprowadzić.

Dążyło się i dąży do ułatwień życia; ale te ułatwienia uzyskuje się na coraz wyższych poziomach. A do wyższych poziomów idzie się ciągłym mozolnym trudem, wysiłkiem straszliwym, który jedynie daje nieśmiertelność sprawom i ludziom. Ułatwienie jakieś strony życia osiąga się zawsze maksymalnym trudem i staje się ono płaszczyzną do podjęcia nowego, jeszcze cięższego trudu.

Dróg łatwych niema w życiu twórczem. Kto ich wiednie czy bezwiednie szuka, temu się na ramiona zwali cały niepodjęty w czasie trud.

11.

Nauczyć się kochać drogi najcięższych wysiłków i trudów własnowolnie podejmowanych (my, którzy mamy tyle sił niezaszczytnych, by wysiłki przez innych nakładane znosić), nauczyć się niezłomnej w chodzeniu po tych drogach *cierpliwości*, natężać siły do zamiarów—bo siłę zwiększyć wolno, a zamiaru nie wolno obcinać. A potym chybko umieć pochwycić nadarzającą się świetną sposobność skorzystania ze swej szalonej pracy — oto cnoty przeciwne tu opisanym wadom.

Jednym ze sposobów wcielania tych cnót byłby skauting, nietylko jako organizacja, ale jako ideja, którą *każdy może wcielać* w domu i gdziekolwiek.

Skauting, który oczyszczony z nalotu snobizmu jest właśnie tym, czego nam trzeba — służbą kresową bez zmrużenia oczu, bez oderwania rąk od żadnej pracy.

Skauting, który nie na najłatwiejszym wybrnięciu z każdej sytuacji się zasadza, ale szukać każe w sobie największego *quantum* umiejętności dania sobie rady, najtęższej sprawności życiowej, każde położenie opanowywającej i zdolnej przetwarzać

12.

Rzecz szczególna, że są ludzie u nas, którzy się boją podnosić zbyt natarczywie tej sprawy wychowania polskich charakterów. I to właśnie ludzie dzielnego czynu. Boją się, wyczuwając intuicyjnie to samo niebezpieczeństwo, by sprawa wychowywania charakteru nie przesłoniła innych spraw życia, by nie stała się jednostronnością.

Tymczasem, jeśli się do tej sprawy odniesiemy szczerze i bez perfidji, bez blagi—nic podobnego grozić nie może.

Czemże bo jest w gruncie rzeczy kształtowanie charakteru, jeśli nie budowaniem postawy człowieka, wobec otaczającego i napierającego nań świata. Ta sprawa obejmuje wszystko. Właśnie kształtując charakter, o niczem zapominać i niczego przeoczyć nie wolno.

Stosunek do środowiska, w którem człowiek tkwi, i zadania w stosunku do tego środowiska, są jedną z naczelnych spraw charakteru.

To prawda, że polskie poszukiwanie linji łatwego oporu zadowoliłoby się kształtowaniem tych cech, które w stosunku do wstrząsających naszem życiem zagadnień najmniej obowiązują.

Lecz właśnie to ma *nie nastąpić.*

Charaktery żywych obywateli, a nie mumji zawieszonych w odbarwionych z życia zasadach, kształtować mamy w sobie i w innych. I nikt nie powie, że to zadanie niemożliwe. Zwłaszcza, że nam nie wolno kresu możliwościom stawiać, nam, którzyśmy jeszcze tylu możliwości nie wyzyskali.

OTTO.

Wrażenia.

WACŁAW SIEROSZEWSKI: Nowele.

Książkę Sieroszewskiego bierze się w rękę tak, jak liść zerwany z drzewa swej młodości. Każdą książkę tego autora pije się jak zdrowie. Oddycha się nią, jak wiarą we własne siły. Obcuje się z nią, jak ze srebrnym zdrojem, niosącym świeżość życia. Cóż chcecie, abym powiedział więcej? Mam-że opowiadać *jak Gryf-Mosłowski budował młyn* w jakuckiej lodowatej wsi? Jak dwoje ludzi z miejsca kaźni wieloletniej rusza w *powrót* ku ojczystej stronie? Jak wspaniale i groźnie toczą się fale Jan-tse-kiang'u, a nad nimi pod milczeniem gwiazd splata się piosnka japońska z bezsenną myślą o Polsce? Sieroszewskiego dusza przechodzić umie nad przepaściami, po wąziutkich, śmiertelnych przedzierając się krawędziach: nikt za nim w ślad pójść nie może bez niebezpieczeństwa runięcia w przepaść. Tym on buduje i zachwyca właśnie, że ponad przepaściami martwoty, niewoli, bezwładu i zwierzęcości ludzkiej ocala zawsze gwiazdę ludzkiego anielstwa.

JAN ST. MAR: Pajęczyna. Powieść.

Książka nader wykwintnie wydana przez firmę Hoesicka. O wiele lepiej wydana, niż napisana. Polecić ją możemy do czytania desperatom, zwłaszcza zaś osobom, które często podróżują kolejami żelaznymi: te bowiem, jak wiadomo, nic nie mają do stracenia.

ROMAN ZRĘBOWICZ.

G. K. Chesterton.

II.

Ortodoksyjna krytyka współczesności.

W dramatycznym utworze Chestertona p. t. „Magia" wystawionym pod koniec u. r. w londyńskim *Little Theatre* — książę przemawia w ten sposób do kuglarza, który bawi na jego dworze:

— Nie wydaje mi się, aby Pan mógł być istotnie nowoczesnym człowiekiem. Czy zajmuje Pana najnowszy postęp?...

— O tak, odpowiada tajemniczy nieznajomy, my kuglarze zajmujemy się wszystkimi figlami wytwarzanymi przez iluzję.

W tych słowach wypowiedział Chesterton swój typowy sąd o współczesnej kulturze.

Spełniać dziś bowiem jakąkolwiek wartość rozwojową, uczestniczyć bez złudzeń w dziejowym dorobku narodowej energji, bronić siebie, swej myśli, swej wiary, jako świadomej i realnej przyczyny powszechnie wzmagającego się życia — jest to obecnie na tle powszechnej bezmyślności i moralnego sceptycyzmu nie lada sztuką kuglarską. Trzeba mieć zaiste, jak Shaw i Chesterton, potężne zdrowie moralne i umysłowe, by głusząc hałas wrzaskliwej bezmyślności oszałamiającym paradoksem, a nie popadając w pesymizm, bronić z fanatyczną wiarą swego na świat poglądu. I myliłby się każdy niepomiernie, ktoby chciał utrzymywać, że Chesterton w chwilach docierania do najohydniejszych faktów nowoczesnego „postępu" powtarza dla własnej otuchy patetyczną maksymę: *contra spem spero.* Ten człowiek absolutnie nie rozumie iluzji podniet, ani romantycznej satysfakcji męczeństwa. Przeciwnie, w chwilach najbardziej sprzyjających depresji, w chwilach, w których zwątpienie pociąga subtelniejsze dusze polskie świętojańskim ognikiem rozgoryczonych marzeń — Chesterton patrzy trzeźwo, niemal z poranną świeżością na nędzę swego pokolenia, i wśród swawolnych powiedzeń krzepkie rzuca wskazania.

Jego skarga jest optymistycznym westchnieniem. Jego surowy sąd krytyczny jest bojowym spiżowych tonów odzewem. Gdy atakuje, chodzi mu wówczas raczej o pewne i niechybne ujęcie rękojeści swej szpady, aniżeli o samo uderzenie. Argument jest dlań radością, a paradoks baldachymem, pod którym chroni się patos jego oburzeń, gest jego apostolskiego wezwania.

Sądzić, wedle Chestertona, może tylko człowiek miłujący poezję, budować — tylko uczucie umiejące odsłaniać chustę Weroniki, rządzić — tylko myśl, znająca tajemne drogi cierpliwości i jasnego jak słońce rozumienia.

Gdy się wśród takich wskazań spełnia życie człowieka, na ten czas przychodzi radość jak wierny sługa, wykonywający z umiłowaniem rozkazy swego Pana.

Radość winna być ciężarkiem, mierzącym głębię życia.

— Sterniku, czemuż cały oddajesz się ciekawości, gdy tymczasem jeno cierpliwość snuje ci nić, utrzymującą ciężarek twojej radości?! Pomnij, że wszelka głębia jest zmienna, a ciekawość przekorna. Nie ufaj wysiłkom oczekiwania, które rodzą bolesną chęć ujrzenia tego, czego nikt nie obaczy. Walcz, ale bez świadomości najpewniej zbliżającego się zwycięstwa. Bowiem świadomość wznieca niepokój, a cierpliwość nie krzepi. Wiara twoja niech będzie słońcem, w którego dobroczynnych promieniach dojrzeją soczyste twojego życia owoce.

Takie jest, mniej więcej, moralne wzruszenie Chestertona, stojące u podstaw jego ortodoksji. Na pozór jest ona racjonalizującą w dziełach tego pisarza, w gruncie zaś stanowi

nie tyle prawdę, ile jego poezję i wiarę. Nie ma wcale racjonalistów — powiada Chesterton. Wszyscy wierzymy w powiastki i przebywamy w nich. Jedni wierzą w kobietę spowitą w szaty słoneczne, drudzy w samo niepojęte słońce, niektórzy w nie dający się unaocznić dogmat istnienia Boga, inni znów w nie dający się udowodnić dogmat istnienia sąsiadów. Z chwilą bowiem, gdy się prawdzie zaprzecza, staje się ona dogmatem. „A przez dogmat — pisze Chesterton — pojmuję coś niedogmatycznego". Ortodoksja jest niczem innem, jak tylko stałym na świat poglądem, zastosowanym tak silnie do życia, że się o jego systemie zapomina.

Współczesność, wedle Chestertona, tej osi zupełnie nie posiada. Żyje iluzją kultury. Świadoma wola dziś już należy do „kuglarskich sztuk" moralistów. Zamiast niej przyszła nowoczesna wolność, polegająca na tem, że się o skandalach i pogodzie rozmawia. Ateizm jest już dla nas za teologiczny, a w rewolucji zbyt wiele spoczywa systemów. Ideał nowoczesnej etyki i wychowania polega na tem, że się obyczajność postrachem chorób podnosi. Ludzkość w dawnych wiekach pozwalała się krzyżować, aby zdać sobie sprawę dokładnie, co jest złe, a co dobre — dziś zaś głosi przez usta swej „najwyborniejszej" elity, że takie kwestje są wogóle nierozwiązalne; co najwyżej, „należy wystawić w najniebezpieczniejszych miejscach tablice, któreby ludzi ostrzegały, powiedzmy n. p. przed pijaństwem, lub przed następstwami, jakie za sobą pociąga lekceważenie egzystencji współbliźnich"... Bo co do dobra, to... wprawdzie nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale chcemy je dać swoim dzieciom...

Nawet cnota skromności u uczonych należy już do przeszłości. Dziecięca prostota Darwina, Huxleya, Claude-Bernarda wydaje się nam wprost legendą. Dziś uczeni — powiada Chesterton — zaczynają czuć siebie, zaczynają być swoich sił świadomi, czyli stają się słabi; zaczynają być dumni ze swej skromności — stają się, jak wszyscy inni, estetami, piszą „Prawdę" wielkimi literami.

Najsurowiej jednak atakuje Chesterton współczesny hedonizm bezcelowy. Pod tym względem angielski pisarz dochodzi do tych samych wniosków, co Romain Rolland, autor „Jana Krzysztofa w Paryżu". Hedonizm ogarnia wszystkich. Jego łuna, płonąca nad Europą bije aż po ostatnie kręgi globu, złoci złowrogim blaskiem najdalsze jego rubieże, ściąga wszystkich do siebie. I biegną za nią ludzie, sądząc, że znajdą w niej miraż własnego szczęścia. Jest to „carpe diem," religja, ale religja najnieszczęśliwszego, nie zaś radosnego człowieka. Jest to „carpe diem" estetów, trująca filozofja Waltera Patera i Oskara Wilde'a — jest to pesymizm Omara Kajjama, którego „cień jak pisze Chesterton, od czasów słynnego tłomaczenia Fitzgeralda padł na całą literaturę angielską". Ci, którzy jego wpływom ulegli, stracili wiarę w radość, bez której nie ma mowy o rzeczywistem używaniu.

Religja „carpe diem" uczyniła z wina nie sakrament, ale środek leczniczy. Filozofja Omara każe pić, ale dlatego, ponieważ życie jest bezradosne, jak ciemna i głucha noc.

— Pijcie — mówi ona — gdyż nie wiecie, skąd przybywacie i poco żyjecie na tym świecie. Pijcie, gdyż nie wiecie, kiedy wam odejść dano. Pijcie, ponieważ gwiazdy są okrutne, a świat jak wir bezmyślny. Pijcie, gdyż wszystko jest pełne oszustwa, lub obojętności. Pijcie, bo wszystko zarówno jest podłe, jak i na śmierć skazane.

„A na ołtarzu chrześcijaństwa — odpowiada Chesterton — stoi inna postać; ona także podaje nam napełniony kielich i woła:

— Pijcie, gdyż cały świat jest jak to wino, czerwony, jest purpurowy jak miłość Boga i jego gniew. Pijcie, gdyż puzony wzywają was do walki, a to jest spełnianie życia. Pijcie, ponieważ jest to wylana za was krew nowego Testamentu. Pijcie, gdyż ja wiem, skąd i dlaczego przychodzicie. Pijcie albowiem wiem, kiedy i gdzie odejdziecie.

OD REDAKCJI. Na mocy porozumienia, jakie stanęło między wydawnictwem *PRAWDY* a redaktorem i wydawcą miesięcznika p. n. *Myśl Polska*, p. Wacławem Orłowskim, który z przyczyn niezależnych od siebie zmuszony był wydawnictwo swe zawiesić, przedpłatnicy tegoż otrzymywać będą od dnia 1 Czerwca zeszyty *PRAWDY*.

Przedpłatnicy *Myśli Polskiej* kwartalni i półroczni proszeni są o wniesienie należności za kwartał III i IV do Administracji *PRAWDY* w ciągu miesiąca.

Redaktor *Myśli Polskiej*, D-r Wacław Orłowski, wstąpił w poczet stałych współpracowników *PRAWDY*.

Książki nadesłane do Redakcji.

Konrad Chmielewski: «Pokłosie belferki». Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Warszawa, Skład główny w księgarni E. Wendego. Str.

Juljusz Kaden. «Zbytki». Nowele: «Prorok, — Dostatek, — Powoje, — Baba, — Gra, — Spowiedź, — Panicze, — Chłopiec, — Wspomnienie. — Książka, — Mieszkanie, — Dwie niewiasty, — Fijołek». Str. 224 Kraków 1914. Spółka nakładowa «Książka». Składy główne: Warszawa, — J. Mortkowicz, Lwów, — H. Altenberg.

Dr. Paweł Deussen: «Zarys filozofji indywidualnej». Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Filozoficznego. Str. 136. Lwów, 1914.

Gustaw Flaubert: «Trzy opowieści». Przekład i słowa wstępne Wacława Rogowicza. Str. 180. Wydawnictwo «Muzy». Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Warszawa, 1914. Skład główny w księgarni E. Wendego.

Wacław Sieroszewski: «Nowele»: Powrót — Wachlarz japoński. — Jan Gryf Mostowski budował młyn. Kraków 1914. Sp. nakładowa «Książka». Składy główne. Warszawa, J. Mortkowicz. Lwów — H. Altenberg Str. 270.

Anatol Krzyżanowski: «Promień Boży». Powieść współczesna. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego. Kijów—Warszawa 1914. Str. 470.

Adolf Nowaczyński: «Apostoł Tanga». Komedja w jednym akcie. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego. Kijów—Warszawa 1914. Str. 120.

Melitta: «Zachód». Powieść. Warszawa 1914. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Str. 250. Cena rb. 1 kop. 80.

Ofiary.

Na pomoc studentowi rb. 30.

Na Seminarjum Naucz. Ludow. w Ursynowi rb. 54 kop. 20.

od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 15, F. Jabłkowski rb. 25, T. Kobyliński rb. 6, J. Rzewnicki rb. 6, S. Klingenberg rb. 6, S. Prauss rb 5, S. Poradowski rb. 3, S. Hegner rb. 1, H. Cywiński rb. 2, S. Szczawiński rb. 2, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, J. Rayski rb. 1, B. Świestowski rb. 1, A. Hoppen rb. 1, R. Świetliński rb. 1, K. Prauss rb. 1, S. Hahn rb. 1, S. Harland rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, W. Popiel kop. 50, S. Słojewski kop. 50, W. Zieliński kop. 70, L. Nowicki rb. 1. Ogółem rb. 84 kop. 20.

Do bieżącego Numeru dołączamy «Poradnik dla czytających» Księgarni Arcta w Warszawie.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński**

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.